

THE GODNIK



Do życia pełnego radości

Katolicyzm zawsze był najbardziej pogodnym światopoglądem na życie ludzkie. Na przekór cierpieniom i umartwieniom, po które chętnie sięgał, głosił kult radości. Starczy przeżyć choćby życiorysy kilku świętych a można wykazać, że umartwienie było tylko podejmowane dla zaprowadzenia ładu wewnętrznego, ład był przyczyną doskonałości, ta z kolei w zjednoczeniu z Bogiem dawała świętość, a świętość rodziła prawdziwą i głęboką radość. Daleki byłby od pojęcia prawdziwego katolicyzmu ten, któryby świętość chciał zestawiać z pojęciem bezlitosnej i ponurej ascezy.

Kościół smutek uważał za wielkie zło i dlatego w liturgii swojej każe się modlić o radość. Ona i głębia życia duchowego chodzą ze sobą w parze. A kiedy ujmujemy sobie zadowolenia z doczesności a zdobywamy się na samozaparcie to tylko w tym celu, bo pragniemy wiecznego szczęścia.

I ta właśnie myśl o nagrodzie i radości, o życiu wiecznym i o Bogu, staje się dla nas potężną energią hamującą i uaktywniającą siły nasze w chwilach walki i pokus. Grzech obiecuje szczęście i zabiera je nam często już bezpowrotnie. Grzech osłabia wolę naszą tak że już nie czuje siły atrakcyjnej dobra i cnoty. Grzech upokarza nas, odbiera zasługę, negatywnie nastawia do życia a destrukcyjnie do radości.

Ostatnio przeprowadzone badania w dziedzinie wychowania wykazały, że najsukcesyjniejszym środkiem do zachowania radości w duszy młodego człowieka jest nie sama walka z instynktem płciowym ale wprężenie go do pracy użytecznej. Zachowanie cnoty czystości zaoszczędza siły i potęguje wiosnę życia.

Katolickie pojęcie Boga wiąże się z pełnią szczęścia.

Wesele wybranych, niebo, wieczność nie dały by się uchwycić gdybyśmy nie wprowadzali radości. Z nią łączy się pełne zadowolenie dotyczące całości życia doczesnego i wiecznego.

Cierpienie zaś jako czynnik wynikający z walki o najwyższe dobra duszy i ciała nie stoi w sprzeczności z pragnieniem szczęścia, ale ma jedynie moc oczyszczającą i umacniającą wolę człowieka, która niczego chcieć nie jest w stanie, jak tylko dobra, posiadanie zaś dobra sprawia radość. Dobro okupione cierpieniem powiększa zadowolenie, radość tworzy szczęście.

Każde szczęście trzeba okupić. Im ono jest wyższe i pełniejsze tym często proporcjonalnie trzeba wyższego i pełniejszego cierpienia. Cierpienie dobrowolnie podejmowane dla nadprzyrodzonych celów w momencie osiągnięcia i spełnienia zamierzeń staje się przyczyną a nawet źródłem wysoko wartościowej radości.

Posłuchajmy rozmowy, jaką prowadził na wchrze i zimnie św. Franciszek z bratem Leonem o zamkniętych bram Świętej Anielskiej na temat radości, a zrozumiemy — gdzie znajduje się prawdziwa wartość i godność człowieka.

„Bracie Leonie — mówił święty Franciszek — dajby Bóg, aby bracia mniejsi wszędzie na ziemi byli przykładem cnoty i bogobojności. Ale zapisz to sobie i uważ, że to nie jest jeszcze doskonałą radością. Bracie Leonie, gdyby bracia mniejsi przywracali wzrok ślepy, uzdrawiali kaleki, wypędzali czarty, przywracali słuch głuchym, nogi kulawym, gdyby nawet umarłych po czterech dniach wskrzeszali, zapisz że to nie jest jeszcze doskonałą radością. Bracie

Leonie, gdyby bracia mniejsi rozumieli wszystkie języki, wszystkie nauki, wszystkie pisma, gdyby umieli prorokować i objawiać nie tylko rzeczy przyszłe, ale także tajemnice sumień i dusz, zapisz, że to nie jest jeszcze doskonałą radością.

Bracie Leonie, ty jagniątko Boże, gdyby bracia mniejsi rozumieli mowę aniołów, znali bieg gwiazd i mowę ziół, gdyby umieli znajdować skarby z ziemi, gdyby im były objawione siły ptaków, ryb, zwierząt, ludzi, drzew, glazów, korzeni i wód, zapisz, że i to nie jest jeszcze doskonałą radością.



Studium głowy do pos. Zmartwychwstania
(Figura wykonana w brązie)

Rzeźbił Kostanty Laszczka

Bracie Leonie, gdyby bracia mniejsi umieli tak dobrze kazać, aby wszystkich niewiernych nawrócili na wiarę Chrystusa, zapisz, że i to nie jest doskonałą radością.

„Ojcie — szepnął brat Leon — powiedz mi, na Boga, w czym leży prawdziwa radość?”

A na to święty Franciszek: „Zapukamy teraz do kościoła Świętej Maryi Anielskiej, przemokli, zziębnięci, zabłoceni, bliscy śmierci głodowej. A gdy odźwierny ofuknie nas gniewnie i powie: — Kto jesteście?”

— A na naszą odpowiedź, że jesteśmy dwaj bracia, odrzeknie:

— Kłamiście, jesteście włóczęgami, którzy oszukują świat i kradną jałmużnę biednych ludzi. Wynście się. — i nie przyjmie nas ale zatrzyma do wieczora za bramą, dzwoniących zębami na deszczu i śniegu, skostniałych i głodnych, i gdy tak zbyszczeni i odprawieni wszystko zniesiemy cierpliwie nie szemrać przeciwko niemu, gdy w pokorze i zlitowaniu pomyślimy sobie, że ten odźwierny nas zna, ale że Bóg mu tak mówić każe, wtedy zapisz bracie Leonie, że właśnie w tym jest doskonała radość. Albowiem najwyższą łaską i darem używanym przyjaciółom przez Ducha Świętego jest łaska zwyciężania samych

siebie i znoszenia trudów, hańby i obelgi gwoli miłości Chrystusa.” (Kroniki Asyżu, R. Brandstaetter.)

Podobną i o wiele większą radością była radość wielkanocna. Inna jest ona niż radość gwiazdkowa, noworoczna czy zielonoświąteczna. Nosi bowiem na sobie znamiona głębokich przeżyć, promiennej nadziei, rozbudzonej po strasznej tragedii męki Zbawiciela, zachwytem zmartwychwstania. Z nią natychmiast rodzi się silna wiara, gdyż słowa Jezusowe okazały się nie złudą lecz czystą prawdą, popartą dowodami najwyższego autorytetu — Bogiem. „Kto we mnie wierzy” brzmi zupełnie inaczej, już nie tak po ludzku.

Radość ze Zmartwychwstania Pańskiego większość dusz napawa odświeżającym, pogodnym wychnieniem wiosennej niedzieli. Po dniach ornego mózgu naręszcie zasłużony pokój. I w ten czas dopiero czujemy, że spotyka nas prawdziwa radość. Było przecież tyle modlitewnego trudu, umartwień, postów, żalu, a nawet niedospanych nocy. Już poza nami Golgota wielkopostkowa, poza nami grób Boży i pokutne przy nim czuwanie, a za to jest wiosenny poranek Zmartwychwstania.

Alleluja, alleluja... bo Pan Zmartwychwstał. I wieść o tej prawdzie entuzjazmuje ludzi, idzie z serca do serca. Rozpiewana rezurekcja nią milknie, zmienia tylko skalę nasilenia i sprawia, że serce łatwiej unosi się do Boga i z Nim jednoczy człowieka.

Alleluja. Zmartwychwstał Chrystus. „Zmartwychwstał tak jakó wam powiedział. Alleluja”. „Bo umarł za grzechy nasze a Zmartwychwstał na usprawiedliwienie nasze, abyśmy w nowości żywota chodzili” (P. IV. 4).

Alleluja „Bo z wielkiego miłosierdzia swego odrodziła nas na żywą nadzieję przez Zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa od zmarłych (I Petr. 1).

Dziś Zbawiciel nasz pogromił owe moce w człowieku, które za karę grzechu pierwotnego dotknęły rodzaj ludzki. „Dziś i śmierć cielesna w głowie naszej, na Panie naszym, poległa i zginęła, w ciebie ludzkim umorzona, do którego się już nigdy nie wróci. Do innych się, którzy tego Zmartwychwstania znak niejaki mieli, wracają; ale do tego Ciała Chrystusowego, już uwielbionego, nigdy już nie przystąpi. Przyjdzie czas, gdy mocą tego Zmartwychwstania Chrystusowego, jako głowy naszej, wszystkie też członki od śmierci wolne będą i jako siane w ziemię ziarna, na wiosną oną zakwitną.” (Piotr Skarga).

Wszystkie pokolenia katolickie cieszyły się z tego powodu. Chrystus bowiem za cały rodzaj ludzki umarł, odkupił go, aby wszyscy w nim zmartwychwstać mogli. Cieszyli się ojcowie nasi, cieszymy się i my, cieszyć się będą pokolenia, które przyjdą po nas.

Jeden tylko w tej radości położony jest warunek — Konieczność trwania z Chrystusem. Życie Jego łaską, upodobnienie się do Niego. Dlatego jednoczyć się z Bogiem znaczy to samo co żyć tak jak Chrystus. A porównując siebie z Nim dopiero zauważyć możemy jak bardzo zniekształciliśmy pojęcie człowieka. Dlatego trzeba zmartwychwstać w łasce Pana naszego, zmartwychwstać do uczciwości względem siebie i względem człowieka.

Oto dlaczego wiara katolicka jest religią najradośniejszą wśród wszystkich religii świata. Jezus Chrystus, Bóg — Człowiek przyniósł nam to wszystko co jest źródłem prawdziwej radości i to wszystko co jest w stanie radość tę spotęgować, uwiecznić i nasycić najwyższymi wartościami, Bogiem.

M. S. K.

TRZECIEGO DNIA ZMARTWYCHWSTAŁ

Chrystus Pan przepowiedział swoją mękę i śmierć ale i swoje zmartwychwstanie.

I przyszedł Wielki Piątek i zatriumfowali chwilowo wrogowie Chrystusa. Dokonali dzieła swej przewrotności, zawiesili na drzewie krzyża Boga — Człowieka. Wspomnieli o przepowiedzianym zmartwychwstaniu. „Zebrałi się przedniejsi kapłani i faryzeusze u Piłata mówiąc: „Panie, wspomnieliśmy, że ten zwodzieciel powiedział jeszcze żyjąc: Po trzech dniach zmartwychwstanie. Przeto rozkaż, aby strzeżono grobu aż do dnia trzeciego, aby snadź nie przyszli uczniowie jego i nie ukradli go i nie powiedzieli ludowi: Powstał z martwych. I będzie ostatni błąd gorszy niż pierwszy. Rzekł im Piłat: Macie straż, idźcie, strzeżcie jak umiecie. A oni poszedłszy, obwarowali grób, zapieczętowawszy kamieniem, ze strażą.“ Mt. 27, 62 n.

Lecz na nic się nie zdały grób, straż, pieczęć i skała. Moc Boża jest silniejsza od ludzi i od śmierci samej. Chrystus Pan sam o własnych siłach powstał z martwych, powstał do nowego wspaniałego życia, wyszedł z grobu. Grób został pusty. „A Anioł Pański zstąpił z nieba; i przystąpiwszy odważył kamień i usiadł na nim. A było wejście jego jako błyskawica, a odzienie jego jako śnieg. A z bojaźni przed nim przerazili się stróże i stali się jakoby umarli.“ Mt. 28, 2. Anioł ogłosił niewiastom radosną nowinę, że Chrystus powstał z martwych. I ukazał się Pan Jezus wczesnym rankiem Marii Magdalenie, św. Piotrowi i innym jeszcze kobietom. Z dwoma uczniami szedł do Emaus. Wieczorem stanął w wieczerniku wśród zebranych tam apostołów. W ciągu 40 dni poprzedzających Wniebowstąpienie nieraz jeszcze ukazywał się Chrystus Pan. W czasie gdy wielki Apostoł narodów — św. Paweł pisał około 57 r. pierwszy list do Koryntian żyli jeszcze prawie wszyscy ci, którzy widzieli Pana po zmartwychwstaniu. Oto słowa św. Pawła: „Chrystus umarł za grzechy nasze według Pisma, pogrzebany był i powstał z martwych trzeciego dnia według Pisma i widziany był przez Piotra, a potem przez jedenastu. Potem widziany był przez więcej niż pięciuset braci razem, z których wielu żyje aż dotąd, a niektórzy zasnęli.“

W wszystkich wypadkach ukazywania się Pana Jezusa uderzają nas dwie rzeczy: 1 Jest to ten sam człowiek, to samo ciało, które było złożone w grobie. 2 Jest to to samo ciało ale już w stanie uwielbionym. Nie jakieś widziadło, nie duch ale sam Pan Jezus ukazywał się uczniom i przekonywał ich, że jest człowiekiem z krwi i kości. I mówił im, gdy mniemali, że ducha widzą: „Czemu jesteście zmieszani, a myślicie, że ja jestem duchem? Oglądajcie ręce moje i nogi, że ja ten sam jestem; dotykajcie się i przypatrujcie; bo duch nie ma ciała, ani kości, jako widzicie, że ja mam. A to rzekłszy, ukazał im ręce i nogi. A gdy

oni jeszcze nie wierzyli... rzekł: Macie tu co do jedzenia? A oni Mu podali część ryby pieczonej i plaster miodu. A gdy zjadł wobec nich, wziąwszy ostatki, dał im.“ Łk. 24, 38 n.

EWANGELIA NA NIEDZIELĘ ZMARTWYCHWSTANIA PAŃSKIEGO



(Św. Marek 16, 1—7)

Onego czasu: Maria Magdalena i Maria Jakubowa i Salome nakupiły wonności, aby pójść i namaścić Jezusa. I bardzo rano w pierwszy dzień tygodnia przyszły do grobu, gdy już wzeszło słońce. A mówiły do siebie: Któż nam odsunie kamień ode drzwi grobowca? I spojrzawszy, ujrzały kamień odsunięty. Był bowiem bardzo wielki.

A wszedłszy do grobowca, ujrzały młodzieńca siedzącego po prawej stronie, ubranego w szatę białą, i zdumiały się. Ale on rzekł im: Nie lękajcie się, szukajcie Jezusa Nazareńskiego, ukrzyżowanego: powstał, nie masz Go tu, oto miejsce, gdzie Go złożono. Ale idźcie, powiedźcie uczniom Jego i Piotrowi, że was uprzedza do Galilei: tam Go ujrzycie, jak wam powiedział.

I dotykali się ran Jego i w końcu sam niewierny Tomasz, włożywszy palce w rany rąk Jego, a dłoń w ranę boku Jego, musiał upaść do nóg Jezusowych i zawołać: „Oto Pan mój i Bóg mój!“

Niezbitym, pewnym jest więc fakt, że ten sam Jezus, którego Żydzi przybili do krzyża, którego ciało złożyli w grobie, zmartwychwstał i w tym samym ciele przez 40 dni ukazywał się uczniom, rozmawiał z nimi, jadł i pił razem z nimi.

Równie pewnym jest i to, że ciało Chrystusa było uwielbienie. Mimo zaryglowanej bramy i zamkniętych drzwi stał Pan Jezus w sali wieczernika, przychodził i odchodził, pokazuje się i znika, kiedy i jak chce. Było ciało Pana Jezusa wyższe nad prawa przestrzeni, ciężkości i czasu. Prawa te ustąpiły prawom ducha.

Chrystus Pan zmartwychwstał prawdziwie. Ten fakt jest granitowym fundamentem naszej wiary.

Żaden nowator religijny, żaden heretyk nie zmartwychwstał nigdy. Twórca nowej społeczności religijnej za czasów wielkiej rewolucji francuskiej Lepaux skarżył się pewnego razu przed Barrasem na swe niepowodzenie. Ten krótko w ten sposób mu odpowiedział: „To bardzo prosta rzecz. Jeżeli chce pan osiągnąć takie wyniki jak Jezus z Nazaretu, każ się w piątek przybić do krzyża, umrzyj, a w niedzielę zmartwychwstań.“ Ale tego ani Lepeaux, ani żaden choćby najgenialniejszy reformator dokonać nie jest w stanie.

Trzeciego dnia zmartwychwstał. Prawda ta świadczy, że zasadą rządów Bożych nad światem jest zwycięska moc prawa i sprawiedliwości. Chrystusa Pana niewinnego skazano na śmierć i to pod pozorem prawa. Zdawało się, że razem z Chrystusem zamordowano i sprawiedliwość. Ale Chrystus zmartwychwstał, a przez to udowodnił, że sprawiedliwość Boża jest silniejsza od ciemnych mocy szatańskich i ziemskich.

Na dowód tego Chrystus nosi rany w uwielbionym ciele. W tych uwielbionych ranach raz na zawsze zapewnione jest ostateczne zwycięstwo sprawiedliwości. Tym ranami wstawia się Jezus za nami w niebie. Z tymi uwielbionymi ranami zjawi się kiedyś Syn Człowieczy na Sądzie Ostatecznym i zapanuje wtedy radość niewypowiedziana wśród sprawiedliwych i nieopisane przerażenie wśród niebożnych.

W świetle prawdy o zmartwychwstaniu Pańskim, w świetle uwielbionych ran Chrystusa idźmy drogą obowiązku, drogą sprawiedliwości i prawa. Nie dajmy się nigdy z niej sprowadzić — nawet w dniu Wielkiego Piątku — w czasach cierpienia i męki. Albowiem po Wielkim Piątku idzie zawsze radosna Wielka Niedziela.

Ks. Musiel Fr.

Wszystkim naszym Czytelnikom, Pracownikom i Współpracownikom
Najlepsze życzenia świąteczne

składa
REDAKCJA

EGO SUM RESURRECTIO ET VITA!

Cichy, południowy błękit skrzył się złotym pyłem gwiazd i drżał mglistą, postrzępioną wstęgą Mlecznej Drogi. Srebrne strugi miesięcznych promieni sączyły się zwolna na omroczone i ponure wzgórza Golgoty, ślizgały się po cudnych a tajemniczych ogrodach Getsemani, co długim pasem zieleni przysiadły na zboczach górskich, i pęłzać poczęły wreszcie na to morze budynków, na połamaną terasę płaskich dachów wciśniętego w dolinę Jeruzalem. —

Jakaś przejmująca i dostojna cichość leżała nad okolicą. Wszystko spało. Nawet te rzesze nieprzeliczone, co na święto Paschy ściągnęły z całej Galilei i koczowały teraz na przedmiejskich ulicach Jeruzalem. Nawet wokół świętego salomonowego chramu panoszył się Sen.

I wichry nacichły...

Tylko w niewielkim ogrodzie Józefa z Arymatei u stóp skalistej opoki pochyliły się wysmukłe cyprysy w milczącej a strasznej żałobie. Zaszleściła płacząco oliwka, zajączała w poszumie rozłożysty libański cedr, zakolały się dumne, pierzasto nastrożone pióropusze palm. Gadały coś między sobą, zawodziły, szeptały.

Jakieś niepojęte misterium rozgrywało się w tym zakątku. W ogród wstępował czar.

Ale tam — na samym krańcu, przed ścianą skalnego upłazu, pośród nawistych gałęzi oliwek płonęły dwie samotne pochodnie, zatknięte w szczeliny głązów. W czerwonym ich świetle majaczyło tam kilka ciemnych, ludzkich postaci. Byli to żołnierze z miejscowej augsyliarnej kohorty. Czuwali u wielkiej, opieczowanej przez rzymskiego prokuratora i Sanhedryn płyty grobowej, kędy złożono ciało Ukrzyżowanego.

Kazano im strzec tej skały dniami i nocą, aby śnić nie przyszli uczniowie Jego i nie wykradli tego, co było umarłe, albowiem On, żyw jeszcze będąc, rzekł do rzeszy mnogiej, iż w trzech dniach mocą własną zmartwychwstanie.

Strzegli tedy kamienia onego, którego i dziesięciu mężów dźwignąć by nie zdołało. Strzegli, by śnić nie wierzyła rzesza, iż Prorokiem był i Królem, by nie wierzyła, iż zwyciężył śmierć. Strzegli, by rozwiązał się ów bluźnierczy obłąd, który ogarniał ciemne galilejskie tłumy. Niechaj się stanie zabobonom kres!

Mijały chwile. Smolne pochodnie dopalały się zwolna.

Ten i ów drzemał wsparty na głazie, tamten gwarzył z cicha z kolegą, a inni znów skracali sobie czas rzucaniem kości, lub mruczełi żołdakie pieśńki. Dowódca strażi, dekuriusz augsyliarnej kohorty, owinał się w szary, galijski płaszcz i przysiadłszy u samej płyty, pochylił się w śnie głębokim.

Cichość była.

Aliści błądły już gwiazdy i kędyś, od wschodniej strony, od rozległych syryjskich pustyni jał się przebiełać firmament, gdy naraz przeeknął się ze snu i zerwał na równe nogi.

— Idą! — krzyknął stłumionym głosem.

Żołnierze skoczyli jak jeden i chwycili za kordy. Stuchem zatopili się w głuchą, niezmaconą ciszę.

— Nie idzie nikt! — odparli po chwili czekania.

Dekurion cofnął się i ochłonał.

— Przysniło mi się widocznie! Sen mnie zmożył! — rzekł przecierając oczy.

Lecz oto przebudzeni żołnierze stali jakby zastygli nagle, znieruchomieli i drżący. Miecze im chwilały się w dłoniach.

— I czegoż tak stoicie? — zapytał zdumiony dekuriusz. — Skądże ten lęk nagły i drżenie? Idzie kto, Mówcie przez bogi! Bo ja nic nie słyszę... nic nie widzę... Mówcie!

— Panie! — ozwał się jeden z nich drżącym szeptem. — Toć nie słyszysz, jak drzewa mową ludzką gadają?

— Nie słyszysz, jak oliwka łka? — do-rzucił drugi.

— ...Jak cedru gałęzie jęczą?

— ...jak śpiewają liście daktylowych palm...

— ...jak się gną w chwalbie figi i cyprysy...

— Słyszycie?... „Hosanna!“

Z ogrodu powiało niesamowitym tchnieniem. Odważnym strażnikiem włosy zjeżyły się pod szyszakami, a z rąk wypadły z chrzęstem miecze. Skupili się odruchowo i schwycili kurczowo za ręce.

— Nie, to szaleństwo! — porwał się za głowę dekuriusz, czując, że dreszcz go przenika. — Szaleństwo ogarnia mnie i was wszystkich... To natura już się zbudziła i gada... człowieczymi głosami gada...

Śmiertelne przerażenie odjęło mu mowę. Zamilkli, wszyscy i tylko serca łomotały im gwałtownie. Zastygli w martwocie i tak trwali. Coś wielkiego i niepojętego, a zarazem upiornego rozgrywało się przy pełnej ich świadomości.

Bo to nie majaki oprędy znużone bezsensownością powieki. Oni widzieli, oni czuli i słyszeli.

W ogród wstąpił czar.

Jękiwie poszumy i poświsty, zblakane wśród ciszy cedrowych gałęzi melodie i owe — jakby człowiecze — cyprysowe łkania mącić się jeły i gubić, nacichać z lekka i stroić się zwolna w jakąś niewidzialną orkiestrę. Przyłączyły się do niej ćwierkliwie uniesienia ptasząt, niczym fletni anielskich granie, przyłączyły śpiewy wstającego świtu. Zgrywała się tedy wielka przyrody całej symfonia w plusku skalnych strumyków, we wichru graniu przeciągłym, w dygocie drzew, w szemraniu liści, w rozbudzonego ptactwa trelach srebrzystych, w dalekim — dalekim boku pasterskich owczych stad... Zgrywał się zwolna jeden hymn wielki, nabrzmiewał, urastał w potęgę, sześć coraz dalej, coraz większy i świętszy, podrywał się z ziemi w jaśniejące błękity... przeradzał w jeden twórczy krzyk przyrody, w zachwyt objawienia. —

Żołnierze stali jak porażeni i dygotali jak w febrze.

Aż wreszcie poczuli, że ziemia pod nogami im drży i łącząc się z tą niesamowitą, kosmiczną pieśnią Bytu, w głuchym gromie tętentem woła głosem wielkim o życie.

I w ślepym szaleństwie strachu twarzami przypadli do ziemi. Oblakani grozą tarzali się jeły w prochu.

A w przestworzu rozległo się wielkie wszechświatów śpiewanie: „Hosanna!“

I jeły dźiać się rzeczy, jakich nie widział Byt.

Od wschodu słońca pożar ogarnął błękity i lunę zatoczył ognistą jak całe morze czerwieni, morze Przenajświętszej Krwi. —

A w błyskawicach i dymie, ponad oparych mgieł kadziła, ponad rozdarte szmady chmur — wzeszło w boskim, błogosławiającym geście — słońce Krzyża.

Niech się obmyje w Krwi i w Męce odrodzi się świat!

Na żywot nieśmiertelny!

...A żołnierze tarzali się w prochu. — Wtedy grobowe zerwały się pieczęci i rozsypały same. —

Wśród huku gromów pękać jąła skała i w gruz waliły się okowy Śmierci. Moc je rozsadała ta sama, co światy powoływała do życia i wieczne wykreślała im szlaki. Szła twórcza, przepotężna, jedyna!

I poruszyła się grobowa płyta. Niewidzialna ręka jednym wszechmocnym ruchem uniosła ją w górę.

Żołnierze zamarli w grozie. Grób był — otwarty!

I wyszła zeń Jasność jak sto słońc na niebie. Ślepy od niej oczy, gasnął cały świat.

I wyszedł Ten, Który mówił rzeszom, iż we trzech dniach zmartwychwstanie.

Nie wkradli uczniowie Ciała Jego.

Wyszedł mocą własną, w błyskawicach i gromach, w drzeniu ziemi, w hymnie całej przyrody, w przejaśnej glorii wschodu... On — Stwórca — Bóg!

Wyszedł, choć przebili Mu ręce i nogi, choć przebili bok i ciernie wtoczyli na skronie, choć policzyli wszystkie kości Jego. * Zwyciężył! Śmierć i błogosławił światu: — OTOM JEST ZMARTWYCHWSTANIE I ŻYWOT!

A z tych rozżagwionych krwią, pożarnych świtów, z tej Przenajświętszej Krwi, co jak morze chlusnęła na ziemię, z onego w zygzakach błyskawic zjawionego słońca Krzyża — wyszedł dzień nowy, wieczny — nieśmiertelny!

I powitała Go przyroda cała:

— Alleluja! Alleluja!

Józef Baranowski

WIELKANOC

Już niebo pełne dzwonów,
Jak wiosna pełna palm
I serce pełne wzruszeń
I słońcem kwietna dal. —

I już nie piach golgoty,
Choć krzyż zawsze ten sam.
Nie fiolet a purpura
U Twych kościelnych bram.

Zmartwychwstał! Cudnie łaski,
Łaską Twą wzbogać nas.
Zmartwychwstał — mocą niebios
Skruszony grobu głąz.

I tyle wokół woni
I kwietna w słońcu dal —
I szept gałązek wiotkich
I świst z puszystych palm.

Zmartwychwstał w sercach naszych
Dniem pełnym moźnych łask.
Gra zieleni w głosach dzwonów
W rezurekcyjny... czas...

II.

Jeszcze jedno wspomnienie:
Fiolet dni, wzgórze nocy —
I ślad serca zblakany
I Golgota w pomroce. —
Wązki cień białej stuły.
Konfesonat...

O, święty
Dobroliwy — u stóp Twych
Gromnic blask i hłacenty...

III.

I purpura weselna
I słoneczne refleksy
Na witrażach.

W hymnie sere:
RESURREXIT; (Zmartwychwstał).

BOGARODZICA

W tym roku schodzą się razem pierwsze święto Wielkiejnocy ze świętem Zwiastowania Najświętszej Panny. Choć święto Wielkiejnocy jest największym świętem w chrześcijaństwie, warto z okazji święta Matki Najświętszej wspomnieć o najstarszej pieśni polskiej „Bogurodzica” świadczącej jak dawną jest i pod tym względem tradycja nabożeństwa do Najświętszej Maryi Panny w naszym narodzie.

Zamiłowanie do pieśni stanowiło od wieków wybitną cechę charakteru narodowego Polaków jak i wszystkich ludów pochodzenia słowiańskiego. Kto ułożył słowa do pieśni Bogurodzica i melodię nie wiadomo. Do niedawnych jeszcze czasów przypisywano ją św. Wojciechowi. Gdy przed 50 laty odnawiano katedrę poznańską — na fresku blisko wielkiego ołtarza, malarz Zaryński umieścił postać św. Wojciecha trzymającego w ręku rulon zwinięty z napisem „Bogurodzica”. Długosz piszący o niej w XV wieku zwi Bogarodzicę — śpiewem ojczywym — pieśnią narodową, lecz nie wspomina wcale, aby ułożył ją św. Wojciech. Wiadomość tę spotykamy dopiero u Jana Łaskiego — kanclerza, który Bogarodzicę pierwszy raz drukiem ogłosił na czele statutu swego w roku 1508 że jednak za czasów św. Wojciecha żaden jeszcze naród, łacińskiego obrządku, pieśni kościelnych w języku własnym nie posiadał a w Polsce dopiero powstały takowe w XIV wieku (od epoki św. Wojciecha do Łaskiego upłynęło całych 5 wieków), nie ma żadnych dowodów aby pieśń „Bogurodzica” pochodziła z X wieku, przeciwnie są wskazówki, że jest utworem z XIII wieku. Cała pieśń znana z odpisów i druków wieku XVI i XVII złożona jest z 20 zwrotek i zdaje się, że nie powstała od razu, lecz urabiała się i rosła stopniowo. Najstarszym jest początek pieśni:

„Bogurodzica dziewica Bogiem sławiena
Maryja,
U Twego Syna gospodzina Matko zwolena
Maryja,
Ziści nam, spuści nam, kierie eleison
Twego dzieła krzciela Bożycze
Usłysz głosy napeln myśli człowiecze
Słysz modlitwę jaż nosimy,
A dać raczy Jegóż prosimy,
A na świecie zbożny pobyt
Po żywocie rajski przybyt
Kirie eleison.

Druga zwrotka jest modlitwą do Syna Bożego „Bożycza”; obie zwrotki stanowią część pierwszą liryczną, odrębną od reszty tokiem i myślą i odśpiewem „Kirie eleison”. Po niej — od trzeciej do piętnastej włącznie zwrotki następuje część opisowa, składająca się z dwóch pieśni wielkanocnych o Zmartwychwstaniu Pańskim i Męce, które położyły kres trudom, jakie Adam — boży kmięć cierpiał i przywiodły go do wiecznej szczęśliwości.

Po tych dwu częściach następuje najpóźniejsza obejmująca modlitwy do św. Wojciecha, św. Stanisława, Wszystkich Świętych za króla i jego rodzinę dodawana od połowy XV wieku. Od niepomnianych czasów rycerstwo polskie śpiewało tę pieśń przed bitwą. Podług kroniki walki pod Grunwaldem w roku 1410 śpiewało tę pieśń całe wojsko idące do boju z potęgą niemiecką. U Długosza czytamy w opisie zwycięstwa kmięci kujawskich nad Krzyżakami Inflanckimi, którzy Kujawy pustoszyli, — „A zaśpiewawszy ojczywą pieśń „Bogurodzicą”, której brzmienie powtórzyły okoliczne lasy i pola, wieśniacy z rycerzami tak mężnie i ochoczo wzięli się do rozprawy (na polach wsi Dąbki nad rzeką Wierszą koło Nakła) iż mniemałbyś, że to starzy

wysłużeńcy z młodym i niedoświadczonym żołnierzem a nie gmin wiejski z rycerstwem wprawnym do boju toczy walkę”. W drugiej połowie XVI wieku, w epoce rozkrzewiania się w Polsce reformacji zaniedbywano w obozach śpiewania pieśni Bogurodzica. Różnowiercy okrywali bowiem śmiesznością pobożne zwyczaje przodków. Śpiewano ją więc tylko po domach, w kole rodziny — z czeladzią. Początkiem XVII wieku wznowiło się zainteresowanie tą pieśnią, gdyż liczne pojawiają się przedruki np. w Kronice Polskiej Bielskiego. Bartłomiej Nowodworski kawaler maltański ogłosił drukiem dzieło o pieśni Bogurodzica w Krakowie w roku 1621 i uczynił zapisy na rzecz szkoły Tuchołskiej oraz Świętojańskiej w Warszawie z zaleceniem śpiewania pieśni Bogurodzica. Ks. Fabian Birkowski wydrukował kazanie

obozowe o tej pieśni z komentarzem. Wszystko to było oznaką wzrastającej żarliwości religijnej i czci do Najświętszej Maryi Panny zwanej od wieków Orędowniczką i Królową Korony Polskiej. Za Zygmunta III jednocześnie z przywróceniem obyczaju śpiewania jej w kościołach, przywrócono do dawnego zwyczaju śpiewania Bogurodzicy w obozach przed bitwą. Do dziś dnia od wieków trwa zwyczaj śpiewania jej przez kleryków w katedrze gnieźnieńskiej przy srebrnej trumnie św. Wojciecha.

Muzykę przekładali z dawnego klucza rozmaici muzycy nieraz błędnie. Najlepiej wykonał to z odpisu krakowskiego z roku 1407 Aleksander Poliński. Może doczekamy że wznowi pieśń tę o przepięknej melodii i nasze kościoły.

Paulina Grabowska.

ZWIASTOWANIE W SZTUCE

Jest nam wiadomym, iż Najśw. Marya Panna w scenie Zwiastowania jest cichą, rozmodloną dziewczeczką, którą posłannictwo anioła uświadamia o oczekującej ją niebiańskiej godności Matki Bożej.

Uroku tej sceny nie umiała odczuć sztuka pierwszych wieków chrześcijaństwa, pełna surowości i pewagi w wyobrażeniach religijnych — a odczuły i przejęły się tematem Zwiastowania dopiero czasy gotyku.

Sztuka staro-chrześcijańska jest na ogół wzięwszy bardzo uboga i oparta całkowicie na wzorach starożytnych. Przeważają w niej wyobrażenia symboliczne. Jej surowość i powaga przeszły do sztuki bizantyjskiej i jeszcze się tam pogłębiły. Wyobrażenia Chrystusa i Matki Bożej były nieraz natchnione, o wielkiej hieratycznej piękności — ale ich ponadziemski spokój nie uwzględnił momentów lirycznych w odnoszeniu się ludzi do Boga.

Pewien zwrot od abstrakcji i schematów sztuce ku życiu rozpoczął się już w epoce romanizmu, atoli dopiero gotyk wprowadził do sztuki wraz z obserwacją natury i pełnię uczuć czysto ludzkich — uczłowieczając niejako wyobrażenie Boga. Gotyk wprowadził do sztuki element poezji i liryzmu, odkrył poezję i liryzm w ewangelii; i oto scena Zwiastowania staje się jednym z najulubieńszych tematów sztuki religijnej, poprzez wszystkie wieki, aż do dnia dzisiejszego.

Na witrażach, a szczególnie wśród licznych rzesz, zdobiących gotyckie katedry, znajdują się prześliczne Zwiastowania wzruszające prostotą i religijnym odczuciem; tak samo wśród miniatur iluminowanych rękopisów. Do czasów gotyku można zaliczyć Giotta (1266—1377) artystę olbrzymiej miary, od którego rozpoczyna się w sztuce włoskiej stanowczy zwrot ku obserwacji życia i człowieka. Wymalował on w Padwie w kaplicy dell Arena kilkadziesiąt wspaniałych fresków z życia Matki Boskiej, pełne poezji i niezwykłego uroku.

Już właściwie do renesansu należy Fra Giovanni da Fiesole, zwany zwykle Beato Angelico (1387—1455). Malował on tylko obrazy religijne. Ozdobił freskami klasztor św. Marka we Florencji, zamieniony obecnie na muzeum. Ileż świętej pokory a zarazem niebiańskiej godności widnieje w postaciach Maryi i anioła! Pod tym względem Fra Angelico jest wyjątkowym artystą; nazywano go malarzem, a legenda opowiada, że obrazy jego, przerwane wskutek innych

zająć, snu albo choroby kończyli za niego aniołowie.

Epoka renesansu, najwięcej może ze wszystkich epok sztuki stworzyła plastyczny wyobrażeń Zwiastowania. Nie było prawie artysty, któryby się tym tematem nie zajmował.

Arcydziełem rozwiniętego renesansu włoskiego jest Zwiastowanie Leonarda da Vinci (1452—1519), ten przedziwny obraz ciszy, duchowego skupienia, przejęcia się wzniosłością chwili. Fotografia nie daje c nim dostatecznego pojęcia, bo wyrażenie ciszy i skupienia potęguje bardzo koloryst, o łagodnym świetle u schyłku dnia przed wieczorem.

Hungo van der Goes, to artysta renesansu holenderskiego; żył w połowie XV wieku. Postacie na obrazie jego są może nieco prostaczne, ale o szlachetnym wyrazie i szczerej pobożności.

(Dokończenie na str. 85)



H. van Goes

ZWIASTOWANIE

REZUREKCJA

Kazimierz wyszedł znów z domu zachmurzonej. Zdarzało się to u niego coraz częściej. Od dłuższego czasu wyraźnie czuł się w domu źle. Denerwowało go tu wszystko: wciąż ruchliwe jak rćć dwoje dzieci, Staś, piękny czteroletni chłopczyk o jasnych oczkach i płowej czuprynie, oraz sześciolatnia rezolutna, mądrze patrząca Zosia, nade wszystko jednak denerwowała go Ewa. Im on bardziej oddalał się od niej, od dzieci, od rodziny, zamknęła się w sobie coraz bardziej. Stała się milcząca, odpowiadała mu tylko na pytania, sama nie pytała go nigdy o nic. Bo i poco? Poco go o co pytać, poco doń mówić, gdy się wciąż złościł, gdy wszystko było nie tak jak być powinno. Czuli, że stała się dla męża niepotrzebna, ot kula u nogi, ciężarem, którego nie wie jak ma się wyzbyc.

Ewa długo patrzyła w okno zamyślona, gdy zamknął drzwi i uciły echa jego kroków na klatce schodowej. Miała w głowie zamęt a w duszy beznamiętną gorycz bólu. Czemu ją męczy ten człowiek myślała i za co? Co mu jest winna? Co złego mu zrobiła, że jej nienawidzi, że się na nią patrzeć nie może? Czemu jej czyni tak straszną krzywdę? Nie zawsze tak było, gdy była dla Kazimierza wszystkim, gdy życie ich płynęło jak baśń. Tak. Tak było, ale to wszystko należy już do historii. Minęło bezpowrotnie i kto wie czy kiedy powróci. Od pół roku mniej więcej poczęło się coś u nich psuć. Kazimierz miał coraz mniej dla niej czułości, serca i czasu. Coraz częściej zamyslał się w domu, coraz dłużej był poza domem. Zaczęła się niepokoić. Wreszcie wyjaśniło się wszystko. Zabrała go inna kobieta. Jakaś urzędniczka. Pracowała z Kazimierzem razem w biurze. Ewa ją widziała, była od niej młodsza, pełna prezentacji i zalotności. Próbowala rozmawiać z mężem na ten temat. Zbył ją. Pojęła, że go straciła. Mijały miesiące. Stosunki między Ewą a mężem stały się nie do zniesienia.

Dziś postanowiła rozmówić się z mężem ostatecznie. Tak dłużej absolutnie żyć nie może.

— Słuchaj Kazik — odezwała się gdy wrócił późnym wieczorem i poczęła gotować się do spania — chciałam z tobą porozmawiać dzisiaj poważnie.

— Proszę bardzo — odrzekł niechętnie. — Jak zawsze poważnie.

— Więc dobrze. Powiedz mi jak długo będziesz mnie jeszcze męczył takim życiem?

— Jakim życiem? — zapytał ze złością — co ja komu złego robię?

— Ty wiesz o co chodzi. Dziś znów byłeś u Władki.

Zbladł. Odezwał się, zaczął wprost krzyć.

— Byłem. I co komu do tego? Byłem i będę do niej chodził bo mi się to podoba. Byłem i jutro pójdę. Może mi kto zabroni do niej chodzić? Może ty?

— Nie, ja ci nie bronię, możesz chodzić. Tylko widzisz, ja tak dłużej już żyć nie mogę. Musimy z tym skończyć. Albo ja i dzieci albo tamta... — szukała słowa — szmata, co zabiera dzieciom i żonie cudzego męża — odpowiedziała z niepojętą twardością.

— Jak ty ją nazywasz? Jak? — poczał krzyć.

Jak na to zasługuje. — Więc dobrze. Pamiętaj byś nie żałowała.

— Nie będę. Mam dosyć tej męki i wstydu.

— Jakiego wstydu?

— Przecież śmieją się z ciebie wszyscy porządni ludzie.

— Gwizdę sobie z ciebie, ze wstydu i ludzi.

— Bardzo łatwo ci gwizdać. Starasz się udawaniem zucha przykryć podłość twego życia.

Rzucił się ku niej. Zdawało się, że ją chwyci za gardło.

— Milcz!

— Długo milczałam. Dzisiaj już nie będę. Mam prawo mówić, ja matka twoich dzieci. Milczałam za długo, gdy ty goniłeś za tamtą ładaczką. Wreszcie musi być koniec. Wybieraj: albo ja z dziećmi, albo tamta.

— Wybrałem już dawno.

— Więc nie męcz mnie więcej.

— Dobrze, żeś zaczęła. Ja chciałem już dawno sam poruszyć ten temat. Zaczęłem nawet starania w sądzie o rozwód z tobą. Ewa zbladła. Nie chciała rozwodu, męża wciąż jeszcze kochała. Postanowiła wszakże rzucić wszystko na szalę.

— Możesz się rozwodzić. Dam sobie radę nie zgine z dziećmi.

— Dzieci ja zabiorę.

— Co? — krzyknęła. — Co? Ty chciałbyś dzieci? Ty? Ty? Ty chciałbyś dzieci, żeby moje dzieci zabrać do tamtej...? Sam możesz iść i zaraz nawet, ale dziecka żadnego palcem tknąć ci nie pozwolę.

Kazik odszedł jeszcze tego wieczoru z domu. Przez adwokata wszczął jeszcze kroki o rozwód.

Mijały dni. Ewa była jeszcze bledsza. Połakiwała często.

Na rezurekcję rozdzwoniły się dzwony, głosząc ludzkości radosną wieść Zmartwychwstania Pana. Kazimierz przeciągnął się na łóżku. Rozwahał: iść do kościoła, czy spać? Wreszcie zdecydował, że pójdzie; zwyciężyła zakorzeniona we krwi tradycja. Nie bardzo zrowu chodził do kościoła ale jakże nie pójść na święta Wielkanocne? Pośpiesznie się ubierał, żeby być na czas.

Wiele ludzi spieszyło w kierunku kościoła. Gdy przyszedł kościół nabył był ludźmi. Głowa przy głowie. Ledwie się wciśnął do wnętrza, widocznie wielu przyszło przedzej, by się nie spóźnić na doroczne wielkie święto.

Zaczęło się nabożeństwo. Proboszcz w lśniącej złotem kapie, w asyście ubranych w dalmatyki wikarych i tłumu ministrantów, przejętych powagą chwili, w śnieżnobiałych komzach i czerwonych kołnierzach, udał się do Bożego Grobu. Zachuchały organy, rozdzwoniły się dzwonki. Złocista monstrancja z jasną białą Jezusa-Hostii błyszczała w ręku sędziwego proboszcza.

Procesja rezurekcyjna, triumfalna, zwycięska ruszyła z kościoła. Z niezliczonych piersi leci w niebo ku Zmartwychwstałemu Chrystusowi mocarna pieśń zwycięstwa i radości: „Wesoły nam dzień dziś nastał”.

Kazimierza porwał tłum i wyniósł z kościoła na dziedziniec. Szedł śpiewając z rzeszą ludzką rozmodloną melodią. W duszy obudziły się wspomnienia z dawnych lat. Przypomniła sobie jako jednego z tych małych ministrantów idących z dumą w uroczystym stroju przed kapłanem z dzwonekami w ręku. Jak przyjemnie było uderzać razem z innymi w dzwonki. Tak dawno to było.

Nagle drgnął. O kilka kroków przed sobą ujrzał Ewę z dziećmi. Z jego dziećmi. Ewa była wyniszczona i blada jakby chora, dzieci wyglądały tak samo jak w chwili kiedy opuścił dom. Dziwnie bije mu serce, jakies uczucie błogości zalewa mu duszę, kiedy z oddali patrzy na płowe główki dziecięce.

Chciałby teraz być obok tych dzieci swoich i choć ręką dotknąć ich kochanych głów. Uświadomił sobie, że dzieci te kocha i to kocha bardzo. Zaczyna ni stąd ni z owąd rozważać jak się to stać mogło, że zostawił je same. Tak. Ewa... wszakże czy winna Ewa? Ona była zawsze dobra, był z nią kiedyś szczęśliwy dopóki na horyzoncie ich życia nie pojawiła się tamta, Władka. Jakaś niechęć powiała z duszy ku tamtej, która dokonała czynu oderwania go od dzieci.

Procesja trzykrotnie obeszła już kościół. Znowu fala ludzi wtacza się w drzwi świątyni. Znowu robi się ciasno i duszno. Natłok straszliwy. Organ gra i huczy, mocarną pieśń tłum śpiewa. Kazimierz stanął wreszcie w świątyni przy filarze. Rozpoczęła się Msza św. Organy uderzają raz po raz w zwycięskie, triumfalne tony. Pod niebo wzbija się z setek piersi wyrwana potężna melodia. Alleluja! Dzień radości chrześcijańskiego świata: Zmartwychwstał Pan, zwyciężył śmierć, zwyciężył nienawiść, zwyciężył ludzką podłość. Zatriumfował okazując swoją Boskość i potęgę. Przeto biją w tony zwycięstwa i radości melodie kościoła, a za nimi biją w te same tony serca w piersi wierzących. Zmartwychwstał Pan. Przeto radość świata, radość wszelkiemu stworzeniu. W oddali świtają ludziom zorze zmartwychwstania ciał w blasku i szczęściu. Zmartwychwstał Jezus! Alleluja!

Kazimierz oparł się o filar. W odbłasku światła też przymruza oczy. Walą weń melodie organowe i mocarna pieśń ludzkich piersi. Czuje się dziwnie. Jest przybity i przytłoczony. Nie czuje niczego z tej radości Zmartwychwstania, jaką przeżywa świat, nie daje się porwać melodiom, bijącym w niebo. W głowie ma jakby szum i pustkę, a w sercu czuje jakiś nie wytłumaczony ucisk.

Radują się i śpiewają inni. Z czego oni ma się radować? Został na takie wielkie święto sam. Władka wyjechała gdzieś do krewnych. On został sam i nie wie co począć ze sobą i samotnością. Inni mają rodziny, dzieci. On? Stracił to wszystko dla Władki. Począł się zastanawiać, czy warto było. Co dała mu Władka? Dał się porwać szalowi zmysłów, poszedł za nią. Wszakże, nie znalazł szczęścia, którego szukał. Władka nie była bynajmniej ideałem, jest złośliwa i obraźliwa. Czasem nie wie jak mówić do niej i czego ona chce. Znowu myśl wróciła do żony. Była łagodna i cierpliwa. Począł wodzić po tłumie głów. Uczuł pragnienie zobaczenia Ewy i dzieci.

Zobaczył ją. Siedzi w ławce nawet stosunkowo nie daleko, widzi ją całkiem dobrane. Obok niej jego dzieciaczki: Staś i Zosia.

Kazimierz czuje jak mu bije serce mocno i potężnie. Fala miłości napłynęła do duszy ku tym dwóm istotkom. Pochłania całą trójkę oczyma. Ewa ma schyloną głowę.

Kazimierz nagle zadrżał. Dojrzał, że Ewa płacze. Najwyraźniej płacze, dostrzega, że stara się otrześć chusteczką łzy. Dzieje się z nim coś złego. Pojmuje. Wie dlaczego Ewa płacze. To on zrobił jej straszną krzywdę. Zdeptał i sponiewierał jej miłość dla tamtej, dla Władki, dla kochanicy.

Został już na pastwę losu samą z dziećmi. Odrzuciła nawet pomoc pieniężną, jaką jej ofiarował na utrzymanie dzieci. Nie chciała.

Fala upokorzenia i wstydu ogarnęła Kazimierza. Jest podły, jest niski, jest skofczona świnią. Czuje to. Dla kochanicy poświęcił żonę, zdeptał przysięgę małżeńską, stracił dzieci. Czuje w duszy i w ustach gorycz. Wielki ból zważył się na piersi. Sam zwicznął swoje życie.

Nie słyszał ani organów wciąż bijących we wielkie tony radości, ani potężnego śpie-

(Dokończenie na str. 86)

PIERWSZE POWOJENNE ŚWIĘTA NA PODKARPACIU

Kiedy w styczniu 1945 r. hitlerowcy w panicznym strachu przed nacierającą Armią Radziecką uciekali z Podkarpacia, po licznych wsiach zostawiali pełne naladowane wozy, a sami na koniach lub pieszo usiłowali jak najspieszniej oddalić się na zachód. Że nie bardzo to im się udało, wiemy o tym dobrze.

W parafialnej wsi S. takich wozów zostało kilka, które miejscowa ludność szybko i „sprawnie” opróżniła, a w końcu nawet i same wozy uprzętnęła jako ekwiwalent za doznane krzywdy w osławionych „kontyngentach” z zbożu, świniami i bydłem.

A „szkuty” (dorastająca młodzież) wolni od szkoły gromadzili przede wszystkim rozmaitego rodzaju rakiety, jak się udało to i granaty i naboje. Dzielnie pomagały im też mniejsze „raki” (przedszkolaki), tak że nie jedna izba przedstawiała swoisty rodzaj rupieciarni.

Lecz hitlerowcy pozostawili jeszcze na szosie działo polowe i nienajgorszą „kupkę” do tegoż kul, które bardzo nęciły oczy „szkutów”, lecz które zbyt ciężkie były na siły jednego z nich. Zresztą sami jakoś doszli do przekonania, że za taką do domu przyniesioną „zdobycz” mogliby „przeżyć” oberwać — „bucokiem” poniżej krzyża.

Ale spokoju im nie dawały! Rzecz zrozumiała, że pierwsze wieczory „próbowano” zdobyć i pukaniny było co nie miara, a kolorowe rakiety rozpruwały ciemności nocy zimowych.

Widocznie dobry Bóg czuwał nad młodymi „szkutami”, bo jakoś wszyscy cało z tych „doświadczeń” wychodzili, ale w końcu i milicja i co który krewki rodzic „bucokiem” te wyczyny ukrócił.

„Szkuty” ulegli dość bolesnym argumentom ojcowskiej ręki, ale że do szkoły jeszcze nie chodzili, więc „w konspiracji” pozosta-

wali, i uradzili sobie, że okres wielkiego tygodnia będzie najodpowiedniejszy do wznowionej „działalności”. Jak się to odbyło zobaczymy.

* * *

Lud podkarpacki do tradycji wielką wagę przywiązuje, która zresztą w monotonności dnia codziennego na wsi dużo atrakcji przynosi.

W Wielki Czwartek pali się tradycyjnego „Judasza”. Udział w tym biorą nie tylko „szkuty” ale i „dziouchy”, których ambicją jest, aby dużą słomianą — łaciątką kukłę, imitującą Judasza (utkniętą na długiej żerdzi) o zmroku podpalić na najwyższym wzniesieniu każdego gospodarstwa.

Lecz w roku 1945 pomysłowe „szkuty” unowocześnili palenie „Judasza” i wydobyszy z im tylko znanych skrytek ukryte jeszcze rakiety, bili nimi w niebo, aż starzy pomruczawszy pod nosem od „psiewiarów” kiwnęli ręką, dając tym samym milczący akcept na to jedyne w swoim rodzaju widowisko.

Aż tu naraz jak nie błysnie i huknie gorzej od pioruna, że aż ludziska z chałup powylatywali — boć to przecież jeszcze na zachodzie wojna się toczyła, więc być może coś się zabiłako albo co?

Ale nie, ani bomby, ani lotnika nie wiadać, to tylko „ujawniony” nowo obmyślony wyczyn skutów. Mianowicie na duży stos gałęzi „szkuty” wspólnym wysiłkiem przyskakiwali kulę armatnią i cały ten „interes” podpalił, sami „wiejąc” co sił do najbliższego rowu czy bruzdy choćby w polu. Rozgrzanym od ognia nabój armatni wybuchł z ogromnym hukiem ku niebyszałej ucieśze nierozsądnych „szkutów”.

Po pierwszej próbie jeszcze pewnie dwa lub trzy nowoczesne „Judasze” wyleciały w powietrze!!!

* * *

Wież podkarpacka z uwagi na podgórski falisty teren dać może dużo tematu artystom malarzom, gdyż każdy gospodarz na swoim gruncie stawia swój drewniany dom, tak że niejedna wieś parę kilometrów jest „zabudowana”. Z tej też przyczyny ks. kanonik corocznie w Wielką Sobotę zwykł jeździć na krańcowe osiedla święcić wielkanocne potrawy.

Gospodarz Szynal duże i ładne miał podwórze i obszerną izbę, która corocznie była miejscem wspomnianego święcenia. A przecież były to pierwsze powojenne święta, więc aby z większą radością je obchodzić wybielono ściany i pułap izby na uroczyste święcenie. Jakoż nie było wcześniej wapna czy czasu, dość, że w Wielki Piątek wybielone ściany i pułap, w sobotę jeszcze świeżym wapnem pachniały.

A tu naraz jak nie huknie i chałupą zatrzęsie! Całe bielenie z sufitu na głowy się wali, święte obrazy ze ścian spadają, wrzask, hałas. I choć nie piorun był tego przyczyną, stary Szynal jak nie „zapiornuje” i z „bucokiem” nie ruszy przez drzwi na pole — ale tylko migające pięty „szkutów” w ucieczce zobaczył i rozwaloną pod studnią starą wierzbę, która stała się ofiarą ponownej próby z „palenia Judasza”. „Psiewiary grzychowskie” — machał „bucokiem” za uciekającymi stary. — Przez całą wojnę „Germańce” mi chałupy nie rozwalili, to te „psiewiary” „szkuty” tyle roboty narobiły...

Szkuty nic z tego już nie usłyszeły, bo nie tyle przed starym co przed wybuchem granatu już naprzód „przedobrze” umykali.

A tymczasem kurz wapienny oknami i drzwiami walił z chałupy, jakby „szkuty” pod samą chałupą granat „wywalili”.

Jak i co dalej wewnątrz chałupy działo się nie wiem, lecz „pioruny” wraz z resztą kurzu wapiennego „uolotniły” się z chałupy, a kiedy ks. kanonik po południu przyjechał święcić potrawy zastał mimo ranego „zamachu” izbę przepięknie wybieloną i obrazy świętych na ścianach, a w koszykach cudne pisanki wśród kęgów kiełbas, i w każdym pięknym baranka z masła.

Stary był honorowy gospodarz, więc pewnie ani przed kanonikiem nie wygadał się o „szkutach”, zresztą złość i kurz z wapna już sobie trochę „przepłukał” nim jegomość przyjechał.

* * *

Nie wiem z jakich „zapasów” i jakie „szkuty” ale i przed rezurekcją ponoć i przy kościółku drewnianym ziemia zadrżała.

Tak to porzucane przez hitlerowskich tchórzów rakiety i granaty nie tylko urozmaiciły dni Wielkiego Tygodnia, ale i w końcu w niecodzienny sposób obwieścili Rezurekcję zmartwychwstałej Polsce. Zaiście bowiem „wesoły dzień dziś nam nastał” nie tylko dla całego Podkarpacia i całej Polski, ale i dla nas resztki wysiedleńców z Poznańskiego, których losy wojenne zagnały do stron, gdzie dobry lud polski wraz z nami Bogu dziękował za dzień zmartwychwstania ojczyzny.

Lud wierny chwalił Pana nad pany.

* * *

A w drugie święto tradycyjni „śmieciorze” (odnośnie do wielkopolskich mietlorzy) mile byli przyjmowani w odświeżenie bielonych izbach, a zwłaszcza tam, gdzie „dziouchom” na wydaniu zależało na tym, aby ci goście domu ich nie minęli.

A starzy zasiadłszy za stołami statecznie sobie popijali, tradycyjnie też sobie życząc „dej ci Boże szczęście” i wesoło gwarzyli o przyszłości.

„Szkuty” już jednak ognisk z nabojami nie palili, bo i zapasy wykończyli, a jako ważniejsze uważali „napełniać” brzuchy kiełbasami, po codziennym postnym żurku, który wraz z glinianym garnkiem, w myśl swej tradycji w Wielką Sobotę rozthukli i w ziemi zakopali.

M. Z.

Zwiastowanie w sztuce

(Dokończenie ze str. 83)

W Polsce na przełomie gotyku i renesansu posiadamy bardzo wielkiego artystę, głównie rzeźbiarza, Wita Stwosza (1438—1533). W wspaniałym tryptyku Mariackim, rzeźbionym w drzewie i polichromowanym, na bocznym skrzydle znajduje się płaskorzeźba Zwiastowania, ze śliczną dziewczęcą postacią Madonny. Ołtarz ten, to jeden z najpiękniejszych zabytków średniowiecznej sztuki.

Następne stulecie, do połowy XVII wieku przysparza sztuce religijnej cały szereg dzieł ze sceną Zwiastowania w rzeźbie, w malarstwie, ale powoli przejęcie się sztuką religijną słabnie i w XVIII w. tematami religijnymi artyści tylko sporadycznie się zajmują.

Czasy najnowsze obdarzyły Polskę poważną, piękną płaskorzeźbą przedstawiającą Zwiastowanie Najświętszej Maryi Panny, prof. Ksawerego Dunikowskiego. St. J.



Z życzeniami „Wesołego Alleluja”

Miasto niezameężnych matek — najmłodsze miasto na świecie

Któżby myślał zakładać miasto dla niezameężnych matek i to jeszcze dla matek wychowujących dzieci sobie powierzone albo lepiej swoje dzieci. Co za szczególne macierzyństwo.

A jednak chodzi tu o matki, o dziewczęta młodsze i starsze, które całe swoje samotne życie postanowiły poświęcić wychowaniu dzieci.

Miasto niezameężnych matek istnieje we Włoszech. Nazywa się dość dziwnie bo Nomadelfia. Założył je ks. Zenon Salvatini, z miłości do bezdomnych dzieci. Całe dzieło jednak dopiero wówczas stało się na poziomie kiedy zyskało pierwszą matkę w osobie osiemnastoletniej panny Ireny.

Zarząd miasta stanowią same kobiety. Ładne tam będą panowały porządki pomyślnie jeden wróg kobiet. Bez docinków panowie. Posłuchajcie jak ks. Salvatini scharakteryzował rzadzą kobiecie: „Nomadelfia jest najruchliwszym, najświętszym, najpracowitszym i najniewinniejszym miastem na świecie. Jest społecznym eksperymentem zrodzonym z wiary w zwycięstwo dobra.”

Proszę sobie zapamiętać, że do niedawna miejsce, na którym zostało ono zbudowane było obozem koncentracyjnym. Nazywało się Fossoli. Każdy Włoch bał się tej nazwy. Osadzano tu wszystkich przeciwników Mussoliniego i jego teutońskiego kolegi z Berlina.

KSIĄDZ Z HARMONIKĄ

Ks. Zenon Salvatini to ciekawy typ księdza katolickiego. Urodził się w Fossoli, miasteczku położonym w górnych Włoszech, w którym istniał wyżej wspomniany obóz koncentracyjny. Zenon przede wszystkim nie chciał być księdzem. A gdy nim został, jak cygan zaczął wędrować od wsi do wsi, grywał, śpiewał, śmiał się, bawił ludzi, czasem gorszył jednych a w podziw wprowadzał drugich — wszędzie szukał kobiet.

Po skończonym gimnazjum rozpoczął studiować prawo. Był adwokatem w swoim rodzinnym miasteczku i wreszcie łaska Boża ściągnęła go do Seminarium Duchownego. Dziewiętnaście lat temu pierwszą swoją Mszę św. odprawił w katedrze w uroczym Capri. W dniu tym ks. Zenon wziął sobie pierwszego młodego przestępcę, który codopiero opuścił więzienie i adoptował go.

Przybrany syn zaczął niepokoić serce swego przybranego ojca kapłana. Widząc czym jest dla tego młodzieńca, ks. Zenon postanawia zająć się bezdomnymi dziećmi, siercami, podrzutkami, włóczęgami, słowem dziećmi, które nie miały nikogo na świecie.

Ks. Zenon wiedział jednak, że opuszczone dziecko potrafi uszczęśliwić serce dobrej kobiety. Dlatego musi szukać dla swoich dzieci kobiet, które zajmą się nimi jak matki.

Wziął więc harmonijkę pod pachę i ruszył na poszukiwanie dobrowolnych matek. Ale nie wędrował sam. Za nim szedł cały ruchliwy inwentarz probostwa: jego przybrane dzieci. Występy te z harmonijką w towarzystwie kilkudziesięciu chłopięcych żółtodziubów stały się głośne i z czasem nieznosne. Ks. Zenon był głośnym na ambonie i w teatrze, przed kinem i cyrkiem, w restauracjach i kawiarniach, na ulicach i targowiskach. Nigdy nie zmieniał tematu. „Szukam dobrowolnych matek, patrzcie, ile mam dzieci. Czekają na wasze ręce i serca.”

Podobne koncerty, rzecz jasna, były nieznosne dla władz faszystowskich Włoch. W prasie próbowano je oblać kubłami najharmobniejszych posądzeń i oszczerstw.

Wędrowki „księżej, rodzinki” były ponadto natarczywe i długotrwałe, bo trwały aż 10 lat. Przez cały ten czas dziwny kaznodzieja i grajek w jednej osobie szukał dobrowolnych matek. Kobiety były głuche. Dopiero po 10 latach zgłosiła się panna Irena i przyjęła na siebie dobrowolnie ciężar macierzyńskiej służby.

PANNA IRENA

Była uroczą dziewczynką. Ukończyła osiemnasty rok życia. Była studentką. Ze zdumieniem patrzyła na ruchliwą chmarę dzieci i z uwagą słuchała uwag kaznodziei z harmonijką. I co dziwne — z miejsca zdecydowała się przystąpić do „rodziny” ks. Zenona. Wyrzekła się dalszych studiów, porzuciła obiecującą karierę, przekreśliła zamiar małżeński i myśli o własnym szczęściu rodzinnym. Podeszła do księdza i ofiarowała jego dzieciom całą urodę swojego młodego i jakże szlachetnego serca.

Ksiądz Zenon nie wierzył oczom. Ale ona przecie zapewniała go, że rzeczywiście chce być matką dla jego dzieci. Nazwał ją „picciola apostoła” — małą apostołką.

Przykład Ireny zerwał lody niechęci i zaczął działać jak magnes. Do San Giaco-

mo Roncolo di Mirandola, gdzie pracował ks. Salvatini przy kościele parafialnym, zaczęły licznie zgłaszać się poprostu tuzinami kobiety. Serce kapłańskie triumfowało przy akordach swej harmonijki: „Ai bimbi la mamma muore mai piu — znaczy to: Mama nie umrze już dzieciom.”

OBYWATELE — FUNDATORZY

Obóz koncentracyjny w Fossoli przedstawiał po wojnie obraz smutku i nędzy. Baraki w okółu drutów kolczastych i wież strażników tchnęły ciszą i smutnym chłodem, „miasta umarłych”, jak tu i ówdzie nazywano obozy kaźni w ostatniej wojnie.

Ksiądz Zenon postanowił zamienić to miasto na „najruchliwsze, najświętsze, miasto na świecie”. Chciał mieć tu swoją Nomadelfię. Zabrał się więc do roboty ciężkiej, upartej, zuchwałej. Pracował długo. Z nim pracowały chętne i wytrwałe dzieci. Związały się po obozie zarumienione twarzą rączki. Usuwano druty kolczaste, gromadzono góry śmieci. Czupryny chłopców w szarmanekim beżadzie dawały we wszystkim radę.

Po wstępnych pracach bez narzędzi przyjechały ciężarówki ze sprzętem. Małcy budowali ulice, rozszerzali baraki, wznosili nowe budowle z drzewa i kamienia, zakładali trawniki. Rosło miasto nowe, budowane jak w prawdziwej bajce przez dzieci — krasnoludki dla dorosłych.

Nomadelfia, tak bowiem nazwano to osiedle liczące dziś 1200 obywateli-dzieci, jest miastem bez biurokracji, bez pieniędzy i bez policji. Mieszkają w nim chłopcy i dziewczynki w wieku od trzech do czterech miesięcy aż do 18 roku życia. Jest tu własna szkoła, szpital, drukarnia, kino, teatr, basen kąpielowy, boisko, są warsztaty pracy, jest świątynia i magistrat. Codziennie ukazują się własna gazeta.

Głowami rodzin to dobrowolne matki, niezameężne kobiety a więc: dawniejsze studentki, nauczycielki, wieśniaczki, góspodie. Każda głowa rodziny jest jednocześnie „radcą, miejskim”. O ile zaś zdarzy się kobieta zameężna wówczas prócz swoich bierze w wychowanie kilkunastu żółtodziubów i wychowują je jak swoje.

Nomadelfia jest w 60 % samowystarczalna. O resztę tj. 40 % stara się jak może ks. Zenon Salvatini.

Nazwę miasta wymyślił on sam. Był przecież adwokatem i dlatego złożył ją z dwóch słów greckich: nomos — prawo i adelos — brat. Czyli znaczy to, że prawem obowiązującym w mieście i to bez względu na każdego, jest braterstwo.

Nomadelfia jeszcze na jedną zasługuje uwagę. Mianowicie jest najmłodszym miastem na świecie. Dlatego, że w całości powstało po wojnie i po drugie, że mieszkańcami są wyłącznie dzieci.

K. S.

REZUREKCJA

(Dokończenie ze str. 84)

wu ludzi. Jakby zamknął w sobie i stał. Jakby jakie odrętwienie schwyliło w swoje macki jego duszę i sparaliżowało. Stał długo bez uczucia i świadomości.

Kiedy wreszcie ocknął się z odrętwienia, stwierdził, że kościół był pusty. Ludzie rozeszli się do domów. On został pod filarem sam. Tak. Jest sam. Inni w rodzinach dzielą się święconym. Odrzucił szczęście, które miał w ręku. Zdeptał je brutalnie. Teraz cierpi. Cierpi słusznie. Sam winien.

Jakaś siła bólu osunęła go na kolana. Począł się modlić. Wylał duszę przed Bogiem i otworzył ją na oświecenie. Był synem marnotrawnym na drogach złych, co wreszcie poszedł pukać w niedoli do wrót ojca.

Kiedy powstał z modlitwy pojaśniało mu oblicze. Już wiedział co ma zrobić. Nawet zrobi to od razu, zaraz. Ani chwili nie wolno czekać mu dłużej.

Wyszedł z kościoła, kierując kroki do swego domu, gdzie Ewa święconym dzieli się z dziećmi. Będzie ją błagał na klęczkach o przebaczenie. Nie odejdzie aż wyżebrze łitość w jej sercu. Choćby go chciała wyrzucić, nie ustąpi. Ma do niej prawo, jest mężem ślubnym, zaprzysiężonym przed majestatem Boga, ma tam u niej swoje dzieci. Będzie błagał aż otrzyma przebaczenie.

Było mu serce kiedy wstępował schodami ku górze. Zapukał. Słyszysz tupot kroków.

Otworzyły się drzwi. Dwie płowe główki rzuciły nań spojrzenie czterech oczu.

— Tatusi!

Nim zdolał wydobyć ze zdławionej krtani jakieś słowo już cztery drobne rączki objęły go za szyję. Za nimi widzi Ewę. Jest uśmiechnięta, jakimś dziwnym skrzywieniem ust a z oczu płyną jej łzy. Dionie ma wyciągnięte ku niemu. Jest w tych łzach przebaczenie i radość z jego powrotu. Z oczu Kazimierza spadają krople łez na płowe głowy dzieci. Jest beznamiętnie szczęśliwy.



Wszystko do święconego gotowe

Chluba Babimostu

Są zabytki znane i mniej znane. Wokół pierwszych narasta bogata literatura naukowa i popularna, cały stos opisów, relacji i zdjęć fotograficznych, drugie natomiast pozostają przez wieki w zapomnieniu, nieznane szerszemu ogółowi. Do tej drugiej kategorii zabytków należy niewątpliwie poliptyk sulechowski, znajdujący się w bocznej nawie kościoła parafialnego w Babimostie.

Zabytkowy ołtarz ma w literaturze fachowej tylko jedno omówienie: jest nim sumiennie napisany artykuł Stanisława Wilńskiego w drugim Nr. „Przeglądu Zachodniego” (Poznań 1948) na nim też opiera się głównie pisać te słowa.

Historia ołtarza da się ująć w kilku zdaniach. Został on ufundowany w roku 1499 przez proboszcza sulechowskiego Gabriela Rittera. W kościele farnym w Sulechowie znajdował się do roku 1866, kiedy to na drodze zapisu zmarłego proboszcza Hankego stał się własnością parafii babimojskiej.

Skrzydła poliptyku oddzielone od ołtarza przez długi czas służyły jako stacje meki krzyżowej. Dopiero w roku 1929 wmontowano je w ołtarz.

Warto podkreślić, że jeszcze w 1913 roku badał ołtarz na miejscu prof. dr Władysław Podlacha wysłany do Babimostu z ramienia Akademii Umiejętności w Krakowie. Praca poświęcona poliptykowi miała się ukazać w „Historii Malarstwa Polskiego”. Niestety wojna światowa przeszkodziła temu.

Poliptyk sulechowski jest cennym zabytkiem średniowiecznego, późnogotyckiego malarstwa. Składa się on z 12 kwadratów malowanych. Obrazy przedstawiają Mękę Pańską, Mamy więc modlitwę Chrystusa na Górze Oliwnej, koronowanie cierniem, upadek pod krzyżem, i szereg innych malowideł aż po Zmartwychwstanie i Wniebowstąpienie.

Pobieżna nawet analiza formalna zabytku wykazuje, że artysta nie zdołał jeszcze wyzwolić się z obowiązujących w średniowieczu konwencji artystycznych. Rok 1499 należy już przecież do okresu, kiedy napór form i haseł renesansowego humanizmu rewolucjonizował sztukę od podstaw, kiedy rozgraniczone pojęcia: treść — forma starano się ściśle harmonizować. Artysta średniowieczny cały swój wysiłek skierował ku najplastyczniejszemu oddaniu gry uczuć (zwłaszcza, jeśli te uczucia miały podłoże religijne) na twarzach tworzonych przez siebie postaci. Nie ma tu jeszcze troski o realistyczne oddanie piękna ciała ludzkiego, jaka cechowała wielkich artystów renesansowych. Stąd te postacie ginaące w obfitych pofałdowanych szatach, stąd to nagminne lekceważenie rzeczywistości, powszechnie spotykanych w życiu proporcji. Twórca poliptyku sulechowskiego wykazuje wady, które cechowały większość artystów średniowiecznych. Szwanuje u niego kompozycja, razi nieumiejętność przedstawiania postaci w ruchu.

Stanisław Wilński postawił tezę popartą poważnymi dowodami, że twórca poliptyku znajdował się pod bezpośrednim wpływem warsztatu twórcy Pasji kaliskiej. Pierwszy był najprawdopodobniej najbliższym uczniem ostatniego, nie dorównując mu zresztą skalą talentu i możliwości artystycznych. Z tego powodu trzeba wyszukać daty powstania Pasji kaliskiej przed rokiem 1499, a nie jak dotąd uważano 1500 r.

Poliptyk sulechowski, aczkolwiek nie jest dziełem oryginalnym, przedstawia olbrzymią wartość historyczno-artystyczną i słusznie może być uważany za jeden z najcenniejszych zabytków sztuki religijnej na Ziemiach Zachodnich. Toteż prawdziwie niepokojący wydaje się być fakt, że tak małe dotychczas wzbudzało zainteresowanie. Pałaca wprost staje się potrzeba dokonania kilku zabiegów konserwatorskich. Na niektórych obrazach można zauważyć odpadanie farby. Cenny zabytek wymaga starannej opieki. Niniejszy artykuł ma nie tylko zaznajomić czytelników z zabytkiem babimojskim: pomyślany jest również, jako przysłowiowy dzwon alarmowy. Ratuńmy wartościowy okaz średniowiecznej sztuki religijnej!

Tadeusz Haluch.



Moryń pow. Chojna

Dusz liczy parafia Moryń 4500. W tej chwili obsługuje ją Ks. proboszcz Mądrzak Jan. Właściwie obecna parafia Moryń łączy w sobie 2 samoistne parafie: Moryń i Cedynię. Z braku kapłanów obsługuje je jeden ksiądz.

Parafia nie jest łatwa do obsługi. Wstarczy wspomnieć, że na jej terenie znajduje się 18 kościołów do obsługi kapłańskiej. Chyba starczy na jednego człowieka. Stałe są nabożeństwa w Moryniu, w innych kościołach w miarę możliwości.

Ludność parafii jest mieszaniną ze wszech stron Polski. Najwięcej jest repatriantów ze wschodu.

Kościół parafialny ubogi. Jest to poprotestancka świątynia w którą trzeba włożyć jeszcze wiele wysiłków i pieniędzy, by przyprowadzić ją do należytego stanu. Pojemność świątyni duża. Na nabożeństwach zmieści się do 2 tys. ludzi. Szpecą kościół protestanckie balkony. Całość jest raczej brzydka.

Sprawiono do kościoła 2 ołtarze boczne, baldachim, konfesjonał, urządzone kompletnie zakrytą.

Przed Ks. Mądrzakiem obsługiwał parafię Ks. Piotr Smoczyński.

Rekolekcje były w roku 1948, 49, 50. Misje od 17—24. VI. 50 r. pogłębiły życie religijne parafian. Stanowiły pierwszą większą orkę w roli dusz ludzkich po okresie wojny. W całości misje udały się i wiele łask Bożych spłynęło w tych błogosławionych dniach, na parafię.

Ludność parafii rolnicza. Element dobry. Wicek na terenie parafii jest aż 20. Odstup z Zielone Świąta. (G)

KOSCIÓŁ I ŚWIAT

— Wizerunek Matki Boskiej na szczycie góry. Z Quito donoszą, że grupa alpinistów katolickich z Meksyku i Ekwadoru po osiągnięciu góry Chimboraz, którego wysokość wynosi przeszło 6300 m ponad poziom morza, zatknęła na nim wizerunek Matki Boskiej na znak czci dla Matki Chrystusa.

— W świetle mówią o O. Kolbe. „Marie”, najważniejsze pismo mariańskie, wychodzące w Kanadzie pod kierownictwem Rogera Buien, członka Akademii Kanadyjsko-Francuskiej, poświęciło cały swój numer wrzesień — październik 1950 r. postaci O. Maksymiliana Kolbe. Na 80 stronicach umieszczono artykuły różnych wybitnych autorów z różnych krajów oraz ilustracje. Wydawca tak określił cel tego numeru: „Mówi się że O. Kolbe miał idee upartą: chwałę Niepokalanej. Życzymy gorąco aby wszyscy katolicy mieli jak on taką idee upartą szerzenia chwały Niepokalanej.

— W Rosario, Argentyna, odbył się kongres powołań kapłańskich pod przewodnictwem kardynała E. Ruffini, legata papieskiego. Omówiony wszechstronnie temat. Między innymi wezwano katolików świeckich do podjęcia wszelkich inicjatyw, które mogą ułatwić drogę do kapłaństwa młodzieńcom, okazującym powołanie. Podkreślono też wielką odpowiedzialność seminariorów wobec kandydatów, którzy wstępują z pełną ufnością i entuzjazmem i spodziewają się znaleźć tu środowisko, które umacnia ich powołanie i przygotowuje do skonałe do nowego życia. W ostatnim dniu kongresu delegat papieski wobec olbrzymich tłumów wyświecił nowych kapłanów z różnych diecezji argentyńskich.

— Nowy kościół w Hiroszimie. Na miejscu, gdzie pierwsza bomba atomowa dokonała pierwszych zniszczeń stanie kościół, w którym będzie specjalny dzwon pokoju. Ofiarowała go Japonka od kilku lat ciężko chora.

Nowy Uniwersytet katolicki. W Brazylii powstał i uzyskał zatwierdzenie Stolicy Apostolskiej nowy uniwersytet katolicki w Ponte Alegre. Istnieją w tym kraju już dwa inne katolickie uniwersytety w Rio de Janeiro i Saulo Paulo. Kościół zawsze troszczył się o podniesienie nauki.

70-lecie urodzin Papieża. W dniu 9 stycznia b. r. upłynęła 70 letnia rocznica urodzin pisarza katolickiego, dobrze znanego całemu kulturalnemu światu. Papini jest konwertytą. Urodził się we Florencji. Był od wczesnej młodości bardzo ruchliwym i czynnym członkiem tamtejszych kół literackich i pism. Znany był przede wszystkim jako fanatyczny ateista. Tym przekonaniem dał mocny wyraz w „Pamiętnikach Pana Boga”. W czasie pierwszej wojny światowej dokonał się w nim przełom duchowy. Nawraca się na katolicyzm, a następnie staje się bardzo gorliwym apostołem. Powszechnie są znane jego „Dzieje Chrystusa” pełne szczerego uczucia. Ostatnimi jego dziełami są listy ukrytego papieża Caelestyna VI i „Sad Ostatni”.

— Św. Kongregacja rozstrzygnięcia wiary ustanowiła dwie prowincje kościelne w Pakistanie: jedną na zachodzie z metropolią w Karachi i 3 biskupstwami, a drugą na wschodzie z metropolią w Dacca i 3 biskupstwami.

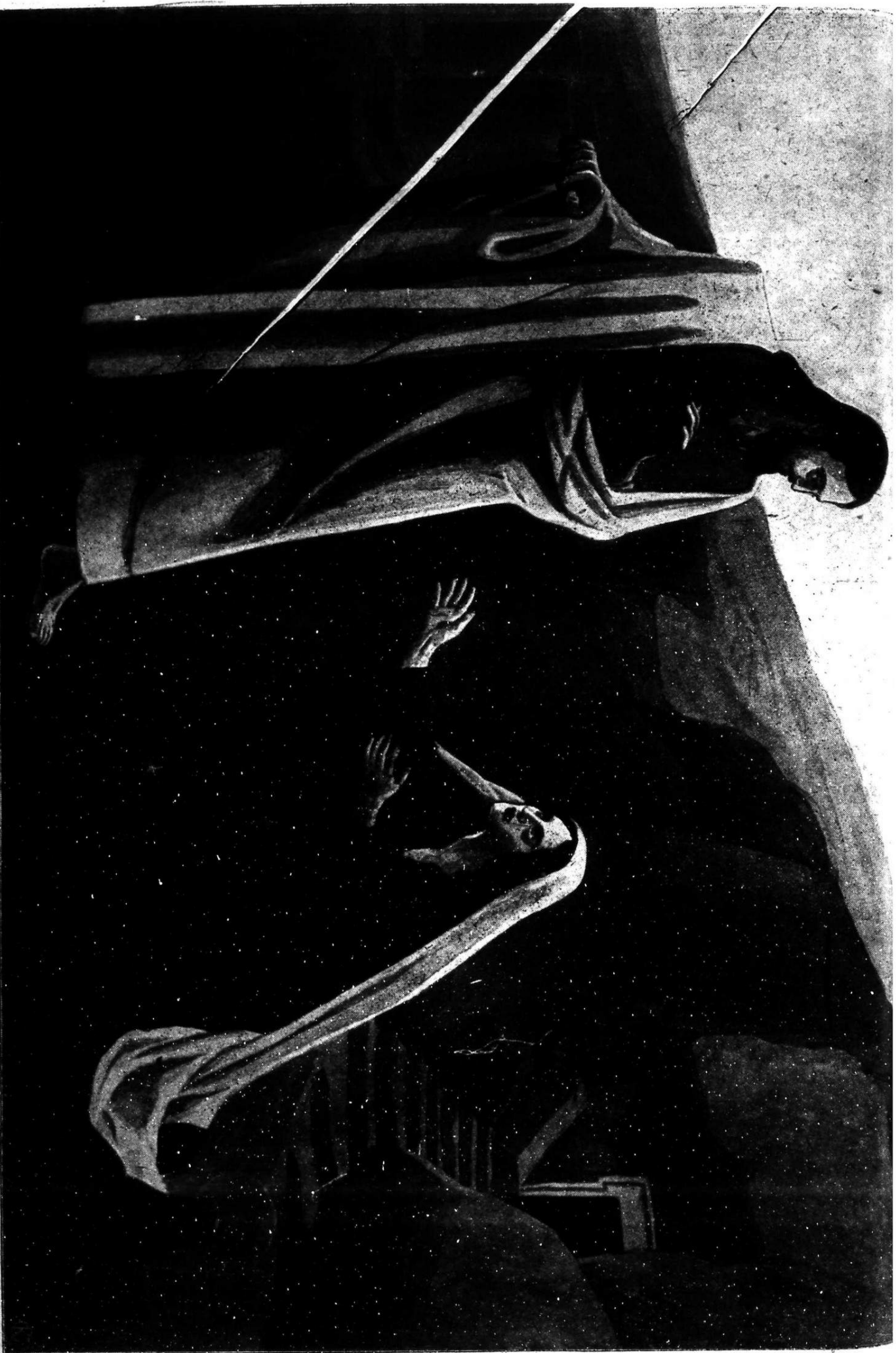
Wydawca: Ordynariat Gorzowski. Redaktor: X. Kazimierz Łabiński.

Adres Redakcji i Administracji: Gorzów Wielkopolski, ul. Drzymały 36.

Telefon 739 — P. K. O. V-854/113. Godziny przyjęć od 12-tej do 13-tej.

Rękopisów niezamówionych nie zwraca się. Prezum. miesięczna 2,80 zł, kwartalna 8,40 zł. Ogłoszenia w cenie 3,60 zł za mm wysokości w jednej szpalcie.

Tłoczono w Wlkp. Zakładach Graficznych — Zakład w Kościanie — 405 — 3. 51. K-2-14611 — 20. 3. 51. Druk ukończono 22. 3. 51.



(wg Eugla)

MARIA MAGDALENA Z CHRYSYDUSEM ZMARTWYCHWSTAŁYM

— Onego czasu, Maria stała u grobu zewnątrz, płacząc. Gdy tedy płakała, nachyliła się i wejrzała w grób. I ujrziała dwóch Aniołów w białej, siedzących, jednego u głowy, a drugiego u nóg, kędy położone było Ciało Jezusowe. Rzekli jej: Niewiasto, czego pła ciesz, Rzekła: Iz wzięto Pana mego i nie wiem, gdzie Go położono. A to rzekłszy, obróciła się i ujrziała Jezusa stojącego, a nie wiedziała, iż Jezus był. Rzekł jej Jezus: Niewiasto czego płaczesz, kogo szukasz? Ona mniemając, że to był ogrodnik, rzekła Mu: Panie, jeśliś ty Go wziął, powiedz mi, gdzieś Go położył, a ja Go wezmę. Rzekł jej Jezus: Maria. Obróciwszy się ona, rzekła Mu: Rabboni (co znaczy Mistrzu). Rzekł jej Jezus: Nie dotykaj się Mnie, bom jeszcze nie wstał do Ojca Meogo, ale idź do braci Moich, a powiedz im: Wstępuję do Ojca Mojego i Ojca waszego. Boga Mojego i Boga waszego. Przyszła Maria Magdalena, Pana i to mi powiedziała.

(Ewangelia wg św. Jana, 20, 11—18).